

STANISŁAW ANDRZEJ ŁUKOWSKI

ur. 1940; Lublin

Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Lublin, PRL, hycel, dzieciństwo, dziecięce zabawy, życie codzienne

Hycel

Na polach Majdanka była osada czy siedlisko, to jest lepsze określenie, hycla, czyli naszego rakarza, „hycel” to jest niemiecka [nazwa]. To był urzędnik, jakby go tam nie znać, państwowy, samorządowy, magistrat go wynajmował, miał takie obejście, uprawiał pola jak chłop, sadił kartofle i tak dalej, ale jego zadaniem było czyszczenie z bezpańskich głównie psów ulicy. Miał taką furę, my to nazwaliśmy „kibitka”, zabudowaną, okratowaną i konia zaprzęgał do tego, jeździł po ulicach i patrzył, gdzie tam się pałęta, włóczy jakiś pies bezpański. Jak go łapał? Miał taki jak wędka potężny długi kij z pętłą i tego psa nim tam się ogarnął, podcinał za gardło, do tego samochodu wrzucał, do tej paki.

Nienawidziliśmy tego człowieka, my jako chłopaki, za to, że taką krzywdę robi tym zwierzętom. Na domiar krążyły legendy, podobno to jest prawdą z punktu widzenia medycznego, że tłuszcz z psa tak samo jak i z gęsi jest bardzo dobry na stawowe historie. Podobno tłuszcz z psa, to sadło znakomicie robiło na płuca dla gruźlików. Więc nienawidziliśmy go, że na pewno morduje i tak dalej, i tak dalej, a ponieważ ciągle włóczyliśmy się po tych polach, dochodziliśmy do tego jego siedliska. To był normalny dom, jakaś obora, tylko w polu, daleko od jakichkolwiek siedlisk, tak że nie sąsiadował z nikim i, tak jak mówiłem, uprawiał kartofle, kapustę, to znaczy to wszystko, co później się dawało zjeść.

[Myśleliśmy], jak się zemścić na tym człowieku, tym hyclu. Na jesieni zgrabiał nać kartoflaną, która już była zupełnie taka obumarła i sucha, gromadził w kopce takie i podpalał, tam trochę jakiejś gazety czy tam trzeba drzewa i to płonęło, całymi nocami to się spalało, aż się wypaliło i przy okazji miał tam trochę nawozu. Nikt tego nie przestrzegał tak jak dzisiaj, że jak ogień, to coś się może zdarzyć. Więc zaczailiśmy się on zgarniał, nazgarniał tego, podpalił, no i idzie dalej zgarniać, odwrócił się plecami, odszedł kilkadziesiąt metrów, ja mu tam te pytki do tego [wrzuciłem] i w kopyta. Ale zabawy by nie było, jakbyśmy uciekli i nie widzieli, jakie to będą skutki, więc tam za jakimś krzakiem czy za jakąś tam bruzdą, czy miedzą czaimy się. No i on

śmiało garnie, tymi grabiami jeszcze poruszył to, a to wtedy łubudu! Wywaliło! My patrzymy, a on jak kłoda na plecy, umarł. Myślmy sobie: „Rany boskie! Po człowieku! Zabiliśmy człowieka!”. Dopiero człowiek sobie uświadamia grozę tej sytuacji. Okazało się, że z tego przerażenia padł i zorientował się, że to my, więc gnał [nas]. My zaczęliśmy wiać, a on gnał: „Ja, skurwysyny, jeszcze [was] trafię! Rozpoznałem wszystkich!”. A my w dygot, bo rzeczywiście jak rozpoznał wszystkich, to teraz jak będzie jeździł tą kibitką, to będzie się tłukł do drzwi. Pamiętam, przyleciałem do domu, mieszkałem na pierwszym piętrze i myślę: „Kurde boleć! Jak to mieszkanie zabezpieczyć?”, zamykało się tylko z zewnątrz, ojciec taki solidny zamek zrobił, że to taka szyna wchodziła, ale to z zewnątrz, a wewnątrz nikt tam nie zamykał mieszkania, bo i po co? No i myślę sobie: „Kurczę blade!”, a drzwi otwierały się do środka. Chodziło o to, żeby nie było kolizji, bo te korytarze były wąskie i jakby się otworzyło na zewnątrz, no to ktoś by nie mógł przejść. Więc w dygocie wpadłem do domu, etażerkę taką z książkami podsunąłem pod te drzwi, stołków nastawiałem, wiadro z wodą i tak dalej i czekałem. No, odetchnąłem, jak rodzice przyszli, ale w dalszym ciągu drżałem, bo jak przyjdzie i powie rodzicom, no to klops będzie ze mną, to przecież od matki to bym do końca życia słuchał, że takie bezceństwa [mam] w głowie.

Data i miejsce nagrania	2015-06-08, Lublin
Rozmawiał/a	Marek Nawratowicz
Redakcja	Justyna Molik
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"